

Teksty Drugie 1994, 4, s. 137-154



# **Jakiej historii IBL-u nam potrzeba?**

Janusz Sławiński

# Opinie

*Janusz Sławiński*

## **Jakiej historii IBL-u nam potrzeba?**

1. Ale najpierw: jakim n a m ? Kogo obejmuje owo „my” w tytule tej wypowiedzi?

Ogarniam nim tych wszystkich — tak umarłych, jak żywych, tak sędziwych, jak jeszcze nie-starych, tak intelektualnie już zużytych, jak znajdujących się w intelektualnym rozkwicie — których losy splotły się kiedykolwiek w ciągu ostatniego czterdziestopięcioletnia z Instytutem Badań Literackich, stając się pasemkami jego dziejów. To im przede wszystkim, a więc n a m, potrzebna jest Historia Instytutu jako jeden z kontekstów tłumaczących ich, to znaczy n a s z c , biografie zawodowe, oświetlających to, co zrobili, co mogli zrobić, co robią i co mają do zrobienia, jako swego rodzaju rama wzbogacająca o szerszy sens ich indywidualne poszukiwania i zdobycze.

A przecież, co niezrozumiałe na pierwszy rzut oka, nikt takiej historii nie spisał, ani nawet nie przymierza się do tego zadania. Oczywiście wiele kłopotliwego już u samych podstaw, gdyż opracowanie wiarygodnej historii IBL-u wymagałoby przekopania się przez góry rozproszonych materiałów źródłowych — ich uporządkowania i krytycznej analizy. Przygotowana przed pięciu laty pod zwierzchnictwem Jadwigi Cza-

---

Od redakcji:

Tekst ten był wygłaszany na konferencji „Instytut Badań Literackich: ludzie, lata, prace. 1948 – 1993”, która odbyła się 9–10 listopada 1993 w Warszawie.

chowskiej *Kronika Instytutu Badań Literackich PAN. 1948–1987*, opierająca się na bardzo szczupłym zasobie źródeł, uprzytamnia, jak wielka musiałaby to być robota. Trudno zresztą nie snuć smętnych raczej przypuszczeń na temat stanu, w jakim znajdują się iblowskie archiwalia. Jeszcze do niedawna w pokoju 128 Pałacu Staszica, który jest moją małą ojczyzną, walały się pod biurkami i po kątach sterty papierów, które bez wątpienia należały do instytutowego archiwum. Nieraz znajdowałem pod nogami całkiem ciekawe dokumenty z różnych lat: korespondencję Dyrekcji z władzami Akademii, zarządzenia, sprawozdania, plany pracy, memoriały Rady Naukowej, recenzje, opinie... Papiery te ulegały stopniowemu rozdeptywaniu, gdyż ruch w pokoju 128 na ogół jest dość duży, i w końcu zapewne znalazły spokojniejsze miejsce w składnicy makulatury.

Nie sądzę wszakże, by istotnym powodem niespisywania historii Instytutu mogły być kłopoty związane z brakiem lub trudną dostępnością materiału źródłowego, gdyż i tak jest go w istocie — jak wszystkiego — za dużo. Podejrzewam, że chodzi o powód znacznie głębszy: oto ci, którzy takiej historii najbardziej by potrzebowali — wcale nie pragną, częściowo świadomie, częściowo pozaświadomie, aby powstała; im bardziej miałaby być wiarygodna, tym mniej by jej, potrzebując, chcieli. Jest to ambiwalencja dość powszechnie dziś występująca — wszędzie tam, gdzie pojawia się zadanie opanowania przez historiografię dziejów środowisk intelektualnych i instytucji, które były wytworem peerclu. Ludzie tak czy inaczej wrośnięci w instytucje i środowiska „nowego typu” (jak się je kiedyś nazywało) odczuwają dotkliwą przykrość, gdy dochodzi do rozpamiętywania genezy i przeszłych losów takich organizmów; mają poczucie, że były one skażone jakąś nieprzyjemną — czy może nawet kompromitującą — dwuznacznością, która komplikuje im samooceny i nie pozwala zachować krzepiącej pewności, że ich własne biografie pozostały od tego rodzaju dwuznaczności wolne. Nawet prawdziwie przywiązani do swoich instytucji, dumni ze wspólnych osiągnięć, wyraźnie nie lubią detalicznych wglądów w historię tego, co im skądinąd tak bliskie; wiedzę o przeszłości odczuwają jako nieokreślone zagrożenie — terazniejsze.

Łatwo to spostrzec we wszystkich właściwie dyskusjach owijających się wokół dzisiejszych spraw Polskiej Akademii Nauk. Zwolennicy jej dalszego, pomyślnego prosperowania w kształcie możliwie najmniej

różniącym się od tego, jaki przybrała przed czterdziestu laty, gdy implantowano ją na polski grunt, nader niczytelnie odnoszą się do wszelkich retrospekcji, uważając je za niefunkcjonalne, czy wręcz szkodliwe, gdyż odwracają uwagę zainteresowanych od zasadniczego zadania, jakim jest przeprowadzenie dzisiejszej Akademii w fortunną przyszłość. Nie przychodzi im — co ciekawe — do głowy, że pomiędzy terażniejszością PAN a jakąkolwiek możliwą przyszłością, którą napotka, rozciąga się cała jej przeszłość — i to ona właśnie stanowi główną przeszkodę na drodze ku szczęśliwemu futurum...

Bardzo pouczająca była dla mnie rezerwa, z jaką spotkały się, u bliskich nawet kolegów, moje opinie, gdy raz czy drugi próbowałem co nieco powiedzieć o mechanizmie dotychczasowej ewolucji IBL-u. Wątpliwości budziło zwłaszcza nazwanie po imieniu genyzy Instytutu: wydawało się, że krzywdzę jego założycieli, mówiąc, co nimi naprawdę kierowało, gdy IBL lepili, chociaż odpowiadało to dokładnie temu, co sami po wielokroć deklarowali; że nie potrafię bezstronnie ocenić znaczenia marksizmu, którym iblowcy obdarowali ongiś polskie literaturoznawstwo; że w ogólności — i to rzecz najważniejsza — najniepotrzebniej w świetle wyciągam odległe „grzechy” IBL-u, a tak naprawdę zostały one definitywnie zmasowane jego późniejszym, olbrzymim i wartościowym, dorobkiem naukowym.

Takie stanowisko, niezależnie od jego źródeł, uruchamia pułapkę, przed którą warto każdego przestrzec. Można bowiem bez trudu przewidzieć, że objawiona niechęć jednych do wspomniania spraw, które dziś wydają się im przykre — musi natychmiast znaleźć negatywne odbrzmienie w usiłowaniu innych, by właśnie tamtych rozjątrzyć, by drażnić głównie to, co ich boli: pokazać, że odwracają się od przeszłości, ponieważ kryje jakieś ich winy, które pragnęliby na zawsze zataić. Oczywiście tego rodzaju supozycje nie mogą pozostać bez odpowiedzi. Toteż obwinieni będą się czuli zmuszeni do gromadzenia dowodów swojej niewinności; będą wykazywać, że pozał się Boże oskarżyciele dostrzegają jedynie pozory rzeczy, a nie jej istotę, że nie rozumieją przeszłych uwarunkowań, że nie potrafią docenić przemyślności i wysiłku, jaki trzeba było w t e d y inwestować, aby to, co dziś wydaje się złe — nie było jeszcze gorsze. I tak dalej, i tak dalej. Ale to woda na młyn demaskatorów: bronicie się, a więc nasze zarzuty trafiły, gdzie należy; najlepszy to dowód, że dotknęliśmy prawdy, od której chcecie uciec!

To jest właśnie pułapka historii rozliczeniowej, aż nadto dobrze znana wielu środowiskom podobnym do naszego. Kto w nią niebacznie wpada, traci zdolność odróżniania procesu ustalania prawdy o przeszłości od procesu sądowego. Ma wtedy do wyboru już tylko dwa symetrycznie karykaturalne tryby praktykowania historiografii: bezwzględnie prokuratorski lub rozpaczliwie obrończy. Jeśli historia IBL-u miałyby być spisywana w obrębie owej pułapki, to nikogo bym na nią nie namawiał; raczej przeciwnie.

2. Jak taka historia mogłaby wyglądać i co powinna w sobie niezbędnie zawierać?

Wydaje się, że należałoby przede wszystkim wyodrębnić w dziejach IBL-u trzy dopełniające się wzajem wątki i każdy rozpatrywać inaczej — stosownie do ich swoistości. Chodzi o:

A. Dzieje IBL-u jako tworu instytucjonalnego w obrębie nauki.

B. Historię literaturoznawstwa iblowskiego, a więc kształtowanie się jego dorobku poznawczego — zakresów zainteresowań, orientacji metodologicznych, programów i koncepcji badawczych.

C. Dzieje IBL-u jako środowiska ideotwórczego oddziałującego na stan ducha polskiej inteligencji, w szczególności dzieje uczestnictwa Instytutu w życiu literackim.

Jak w porządnie zbudowanej fabule powieściowej, te wątki powinny w różnych miejscach krzyżować się i splatać, wspierać się wzajemnie i tworzyć dla siebie konteksty objaśniające. Niemniej muszą być opowiedane oddzielnie, ponieważ odmienny jest charakter tworzywa każdego z nich.

A. Gdy skupiamy się na pierwszym z tych wątków, rozważamy *eo ipso* dzieje IBL-u jako część dziejów Polskiej Akademii Nauk. Jediną właściwie jego osobliwością w ramach owej nadrzędnej historii było to, że swoim powstaniem wyprzedził o cztery lata Akademię, gdyż stanowił jedno z poletek doświadczalnych, na których wypróbowywano możliwości jej przyszłego działania, tak by potem mogła jak najlepiej spełniać wymogi Wzoru, jaki jej przyświecał, to znaczy — Akademii sowieckiej. Pionierskie doświadczenia Instytutu były wysoko szacowane przez władze polityczne organizujące Akademię, okazywały się bowiem bardzo przydatne w pierwszym okresie jej

istnienia. Wtedy też w gronie najwyższych dostojników PAN znajdowali się założyciele naszego Instytutu.

Jednakże na tej roli forpoczty kończy się cała osobliwość. Od 1952 roku Instytut pozostawał najzupełniej typową w swojej strukturze i sposobach funkcjonowania placówką panowską w dziedzinie nauk społecznych. To jak najmocniej podkreślam, ponieważ można się nie-raz dowiedzieć, że IBL był jakimś dziwem natury na tle PAN — i stąd miałyby się brać jego wyjątkowo burzliwa i pełna dramatycznych napięć historia. W rzeczywistości jako instytucja miał charakter tuzinkowy, a więc odpowiadał dokładnie warunkom, jakie były przewidziane dla całego gatunku pokrewnych mu instytucji. A do takich warunków zaliczyć trzeba przede wszystkim:

- pełne uzależnienie od sekretariatów i biur Akademii we wszystkich właściwie żywotnych dla placówki sprawach, takich jak obsada stanowisk kierowniczych i w ogóle wszelki ruch kadrowy, programy badań i ich obsługa wydawnicza, organizowanie konferencji i sympozjów, kontakty z uczonymi z innych krajów, wyjazdy zagraniczne pracowników;

- niezmiernie rozbudowany, drobiazgowy i uciążliwy system planistyki i sprawozdawczości, przeniesiony w obręb działalności badawczej (a więc w znacznej mierze twórczej) z zakładów produkcyjnych, fabryczny — można powiedzieć, który bez wątplenia stanowił element socjotechnicznej tresury, jakiej byli poddawani ludzie zajmujący się pracą intelektualną;

- wszechobecność partyjnego nadzoru nad życiem instytutowym — we wszystkich jego zakresach i przejawach. Działała tu wielopiętrowa hierarchia instancji partyjnych (od wewnątrzinstytutowej, poprzez wydziałową, akademijną, do wydziału nauki KC PZPR), która stanowiła główne źródło tak decyzji dotyczących podejmowanej tematyki badań, awansów, stopni i tytułów naukowych pracowników, jak miarodajnych ocen rezultatów prac, a w ogólności — pozytywnych lub negatywnych notowań placówki;

- zmultiplikowaną kontrolę cenzuralności tekstów przeznaczonych do publikowania („produkcji” naukowej instytutu). W tej kontroli urzędowa cenzura była zaledwie ostatnim ogniwem w całym łańcuchu cenzurowania (i autocenzurowania), któremu nieprzerwanie podlegały powstające prace — na wszystkich właściwie poziomach organizacji instytutu, wydziału Akademii czy wydawnictwa.

W istocie, taki model instytucjonalny placówki panowskiej w dziedzinie dyscyplin humanistycznych przetrwał w ogólnych zarysach od początków istnienia PAN aż po sam schyłek komunizmu w Polsce. Stanowił w swoich konstytutywnych elementach niezmienną matrycę możliwości — i ona to w przeważającej mierze wyznaczała i ukierunkowywała historię IBL-u jako instytucji. Trzeba powiedzieć, że tego typu instytut po prostu nie mógł dorosnąć do własnej, zindywidualizowanej historii, ponieważ wszystko, co się z nim z biegiem lat działo, nie zależało od jego wewnętrznej jakości, ale było pochodną ewolucji, jakiej podlegała cała struktura Akademii. Ewolucji, jak wiadomo, niewiarygodnie powolnej, najczęściej na granicy znieruchomienia. Wszelkie w niej poruszenia były za każdym razem jedynie ospałym refleksem chwilowych przyspieszeń, czy — jak się mówiło — „zakrętów” w makroskali życia politycznego PRL. W sumie więc ten wątek historii Instytutu, o jakim teraz mowa, jest pozbawiony indywidualnej wyrazistości — zarazem typowy i dość statyczny.

Oczywiście nikt nie zaprzeczy, że IBL przechodził w swoich dziejach przez rozmaite koniunktury: bywał przez władze polityczne faworyzowany i nagradzany, ale bywał też w niełasce, a nawet w poważnych opresjach; że kierowali nim nieraz ludzie mądrzy i dalekowzroczni, ale stawiano też na jego czele osoby mierne i bez wyobraźni, za to posłuszne zwierzchności; że ciśnienie owych typowo panowskich ram instytucjonalnych i politycznego nadzoru na życie wewnętrzne IBL-u nie było przez cały czas jednakowe: miało fazy wzmocnienia, ale i słabnięcia, wyraźnie odczuwalnego (tak było w miesiącach Solidarności). W okresie między 1956 a połową lat 80. Instytut trzykrotnie, a może czterokrotnie, stawał wobec niebezpieczeństwa likwidacji, które za każdym razem straszło jako nieodwołalne.

W istocie jednak wszystkie te koniunkturalne wzloty i upadki, pomyślności i zagrożenia, przyjazne i nieprzyjazne zbiegi okoliczności — przysłaśniały sytuację ponad wszelką wątpliwość stabilną. IBL trwał, choć nieraz wydawało się to dziwne i politycznie nieuzasadnione. Dlaczego musiał istnieć? Dziś sądzę, że sekret jego instytucjonalnej trwałości może znaleźć zupełnie trywialne objaśnienie. Otóż takie placówki, jak IBL, musiały niezmiennie istnieć, ponieważ ich likwidacja oznaczałaby, że Akademia traci w jakiejś mierze coś, czego nie wolno było jej stracić, a mianowicie kompatybilność w stosunku do Akademii sowieckiej i innych należących do tej samej rodziny. Relac-

je między akademiami demoludów opierały się na całym systemie braterskich symetrii: czy mogło gdzieś zabraknąć ośrodka literaturoznawczego, jeśli gdzie indziej takie ośrodki istniały i działały? Co by się wtedy stało z kooperacją, więzią, wymianą idei i uczonych, wspólnymi tematami badań — i tak dalej?

B. Drugi wchodzący w grę wątek — dzieje literaturoznawstwa iblowskiego — musi zajmować, rzecz jasna, centralne miejsce w jakkolwiek pomyślanej historii Instytutu. Jego dotyczyły wszystkie wczorajsze wypowiedzi na tym spotkaniu i w znacznej mierze go wyczerpywały.\*

W przeciwieństwie do wątku poprzedniego — instytucjonalnego — gdzie bieg czasu stosunkowo niewiele zmieniał w układzie wyjściowym, tu mamy do czynienia z procesem przemian w całym tego słowa znaczeniu. Można by ów proces oglądać i opowiadać o nim z różnych punktów widzenia, biorąc za każdym razem pod uwagę inny z jego przekrojów. Najważniejsze byłyby takie:

— Ewolucja założeń i koncepcji metodologicznych — od początkowej ortodoksji marksistowskiej, poprzez tzw. otwieranie się marksizmu na odrzucone przedtem tradycje wiedzy o literaturze i na impulsy współczesnej humanistyki zachodniej, do pluralistycznej zgody na różne obocznie występujące ideały uprawiania literaturoznawstwa, do uznawania metodologicznej wielojęzyczności naszej dyscypliny za stan właściwy i przeto wymagający usilnego podtrzymywania.

Sam ten pluralizm dążeń był zjawiskiem wyraźnie dwufazowym. Początkowo oznaczał aktywną komunikację, wzajemne zainteresowanie, dialog między nurtami czy stylami myśli naukowoliterackiej, wymianę idei, pomysłów, chwytów interpretacyjnych. Natomiast w późniejszej fazie stawał się po prostu sposobem współlistnienia zobojętniałych wzajem dążeń...

— Z innego punktu widzenia ten wątek historii IBL-u dalby się traktować przede wszystkim jako proces stopniowego wyłaniania się i rozrostu obszaru przedmiotowego obejmowanego przez badania

---

\* Mam tu na uwadze referaty: Barbary Otwinowskiej, Teresy Kostkiewiczowej, Marii Żmigrodzkiej, Grażyny Borkowskiej, Ryszarda Nycza, Zbigniewa Jarosińskiego, Teresy Dobrzyńskiej, Włodzimierza Boleckiego, Krzysztofa Dmitruka, Jadwigi Czachowskiej, Bogdana Zakrzewskiego, wygłoszone w pierwszym dniu konferencji.



prowadzone w Instytucie. Trzeba by więc zapytać o to, w jakiej kolejności, z jakimi motywacjami i z jakim sprzętem poznawczym przystępowano do interpretacyjnego podboju poszczególnych okresów w dziejach literatury narodowej. Dlaczego w różnych latach pracy IBL-u faworyzowano pewne epoki, inne na czas jakiś pozostawiając odłogiem? Czy była jakaś logika naukowego rozwoju w tym przesuwananiu się dominant? Takie samo pytanie dotyczyłoby twórczości poszczególnych pisarzy, na których skupiała się chwilowo uwaga iblowskich komentatorów. Co to była za konstelacja i wedle jakich zasad, czy może zbiegów okoliczności, powstawała? Zresztą podobnym pytaniem objąć by trzeba wszelkie duże tematy i kręgi problemowe — w teorii dzieła, w teorii procesu historycznoliterackiego, w teorii komunikacji literackiej, w badaniach nad kulturą literacką, językiem literatury i wierszem.

— Jeszcze inny punkt widzenia kazałby spojrzeć na kształtowanie się dorobku IBL-u poprzez pryzmat przedsięwzięć — nazwijmy je tak — „mamucich”: wielkich, długofalowych, zespołowych prac, których charakter, zakres i fundamentalne znaczenie dla całej dyscypliny sprawiały, że traktowano je nieraz jako *raison d'être* Instytutu. Myślę o uniwersyteckiej syntezie dziejów literatury polskiej i o wielu robotach o szerokim zasięgu — dokumentacyjnych, bio-bibliograficznych, edytorskich, encyklopedycznych i słownikowych. Zawile losy tych przedsięwzięć, z których tylko nielicznym udało się osiągnąć kształt pełny, a większość pozostała w rozmaitych stadiach niedokonania, niczym budowle pięknie rozpoczęte, potem przez budowniczych zaniechywane czy porzucane, mogą stanowić przypadek szalenie ciekawy dla historyka nauki, a pouczający dla planistów i menedżerów.

— Dzieje literaturoznawstwa iblowskiego można by wreszcie ująć tak, ażeby stało się widoczne, jak osadzały się w nim doświadczenia intelektualne, gatunki zainteresowań i upodobań kolejnych pokoleń współtworzących dorobek Instytutu. Jakiego rodzaju nacechowania, rysy znamienne, wrażliwość na problemy, a nawet gusta literackie wniosło każde z nich do parogeneracyjnej polifonii badań? Czy w relacjach między nimi dominował (i kiedy) duch współzawodnictwa, czy raczej duch kooperacji? Jak przystosowywały się do siebie i co sobie nawzajem zawdzięczały?

— A na koniec warto by przyjąć i taki punkt widzenia, który oddawałby sprawiedliwość najwybitniejszym indywidualnościom iblow-

skim, osobom ogniskowym w historii Instytutu, ludziom, którzy dawali początek całym nurtom problematyk czy szkołom uprawiania różnych specjalności badawczych. To ich twórczości, a i wysiłkom organizatorskim, Instytut zawdzięczał swoje długotrwałe ukierunkowania, dynamikę wewnętrznej komunikacji, swoje miary i standardy osiągnięć.

Dopiero honorując te wszystkie punkty widzenia, można będzie wytłumaczyć historyczną — by tak rzec — nieuchronność występujących w IBL-u form organizacji pracy, a także ewolucję owych form: zespołów, pracowni, zakładów, kręgów przyjacielskich, doraźnych bądź trwalszych miejsc dyskusji, a nawet poszczególnych pokojów w Pałacu Staszica, z którymi związane są nie tylko osoby skazane na ich ciasnotę, ale też określone typy literaturoznawczych zagadnień, a także różne dialekty iblowskiego języka.

C. Trzeci z zapowiedzianych wątków, to dzieje IBL-u jako środowiska ideotwórczego, które rozmaitymi drogami i sposobami promieniowało na zewnątrz, poza krąg literaturoznawstwa akademickiego: przede wszystkim w sferę literatury, ale też w sferę edukacji szkolnej, i generalnie — w sferę świadomości inteligencji humanistycznej. Przedmiotem uwagi byłby tu Instytut niejako poza jego własnymi granicami; chodziłoby o coś w rodzaju zewnętrznej historii IBL-u, czy też historii jego recepcji i oddziaływania. Myślę, że jest wystarczająco bogata i wymowna, by się nią zająć, chociaż wielorakość i wielomówność wchodzącego w grę materiału mogą się okazać kłopotliwe i będą wymagać od historyka dużej zręczności przy układaniu i semantyzacji świadectw. Pewne kawałki tej historii są wyraziste i dobrze udokumentowane, a więc stosunkowo łatwe do opisania. Na przykład rola iblowskiej kuźni krytyki we wdrażaniu i teoretycznym ugruntowywaniu socrealizmu w latach 50., czy też udział IBL-u w indoktrynacji szkolnej humanistyki w tychże latach. W przeważającej większości wypadków mamy jednak do czynienia ze świadectwami oddziaływań znacznie mniej jednoznacznymi, które domagają się dopiero uwyrażniającej problematyzacji.

3. Ale samo wyodrębnienie wątków (jakichkolwiek) to zaledwie połowa conceptualnego wysiłku, jaki należało by włożyć w zaplanowanie historii IBL-u. Drugą stanowi — oczywiście

— projekt periodyzacji dziejów instytutowych. Jakże moglibyśmy się bez niej obejść?

Czterdziestopięcioletnia historia Instytutu dzieli się — tak ją postrzegam — na trzy okresy o wyraźnie odmiennych obliczach:

A. Pierwszy — IBL w okopach „frontu ideologicznego” — od 1948 do końca lat 50.

B. Drugi — nazwałem go kiedyś „złotymi latami” IBL-u — rozciąga się między początkiem lat 60., a schyłkiem następczej dekady.

C. Trzeci — okres duchowego dryfowania IBL-u — od końca lat 70., po dzień dzisiejszy (a i jutrzejszy zapewne także).

Jeśli tego rodzaju periodyzację nałożymy krzyżująco na porządek trójwątkowy, otrzymamy w wyniku układ dziewięciu pól, a więc całkiem zgrabną kompozycję. (Wtedy na pytanie: jakiej historii IBL-u nam potrzeba? — możemy odpowiedzieć: to całkiem jasne — złożonej z dziewięciu rozdziałów.)

A. Nie ulega kwestii, że najdogodniejszy dla historycznej prezentacji pozostaje pierwszy okres. Był on najbardziej jednorodny w swoim charakterze, pozbawiony dramatyzmów i jak gdyby jednopłaszczyznowy.

IBL został powołany do życia jako instytucja *stricte* ideologiczna, chociaż uzasadnienia, jakie temu towarzyszyły, nawiązywały maskująco do retoryki scjentyistycznej (jeszcze przedwojennego chowu). Powstał, aby zrównoważyć niepewną ideologicznie polonistykę uniwersytecką. Program, który mu przyświecał, był prosty i jednoznaczny: miał gromadzić i szkolić kadrę badaczy marksistowskich zdolnych do podjęcia dzieła pełnej reinterpretacji dziejów literatury ojczystej — za pomocą języka ideologicznego, który właśnie w IBL-u byłby wytwarzany. Ów język powinien tłumaczyć się i definiować swoją tożsamość jako wyspecjalizowana odmiana dyskursu partii komunistycznej. W dziedzinie pracy teoriiotwórczej główne zadanie sprowadzało się do „twórczej” egzegezy — oraz adaptacji — pojęć i formuł, jakie uczeni sowieccy wywiedli przedtem z pism klasyków marksizmu-leninizmu, a więc teorii odbicia rzeczywistości w sztuce, teorii dwóch nurtów w kulturze, teorii bazy i nadbudowy, teorii realizmu socjalistycznego, etc. Jej konstytutywnym składnikiem pozostawała nieprzerwana walka z urojeniami, fałszami i ogólnie — antynaukowością burżuazyjnej wiedzy o literaturze — rodzimej i zagranicznej. W dziedzinie pracy interpretacyjnej (historycznoliterackiej) za zadanie

numer jeden uznawano wybór postępowych tradycji w obrębie magazynu literackiej przeszłości; postępowych, czyli takich, które można było — po odpowiednich zabiegach dostosowujących — traktować jako genealogię komunistycznej teraźniejszości: plebejskich, antyreligijnych, antyszlacheckich, materialistycznych (od Biernata z Lublina po dziewiętnastowieczny realizm powieściowy).

Zarówno produkty pracy teoriiwórczej, jak i wzory działań interpretacyjnych, miały być — i były — forsownie upowszechniane w literaturoznawczym nauczaniu uniwersyteckim, w polonistyce szkolnej i normatywnej krytyce literackiej. Wszystko razem nosiło nazwę marksistowskiego przełomu w badaniach literackich. Biegun na pozór nicideologiczny stanowiły w obrębie owoczesnego IBL-u prace — zresztą od samego początku bardzo szeroko zamierzone — nad budową tzw. warsztatu polonistycznego: bibliograficzne, materiałowe, filologiczno-cdytorskie, nieco później także leksykograficzne. Jednakże historia takich zwłaszcza przedsięwzięć, jak *Nowy Korbut* czy *Polska bibliografia literacka*, dostarcza aż nazbyt wielu dowodów na głębokie upolitycznienie również tej dziedziny aktywności, podległej doktrynalnym wytycznym i ani przez moment nie wolnej od drobiazgowej kontroli politruków.

Stopniowe wyłamywanie się IBL-u ze sztywnych ram instytucji ideologicznej, jakie się dokonywało w wyniku odwilży 1956 roku (bo przecież, jak wszędzie w pobliżu, dokonywać się musiało), bynajmniej nie oznaczało, że jednoznacznie przestawał nią być. W oficjalnych uzasadnieniach i programach działalności dalej akcentowano wierność zasadom doktryny, która legła od początku u podstaw Instytutu. Ale takie deklaracje miały coraz bardziej charakter retoryczny — w zestawieniu z faktycznymi jego przeobrażeniami. Pełniły więc analogiczne (choć zarazem przeciwstawne) zadania, co uprzednio retoryka scjentyistyczna, maskująca dominację treści ideologicznych.

Stosunkowo najszybciej IBL uwolnił się od służebności bezpośrednio propagandowych. Porzucił — już na zawsze — instrumentalne traktowanie języka badań jako swego rodzaju proteczy języka partyjnego. Równoległe jednakże wzbierał w Instytucie nurt zatroskania o pryncypia prawdziwego (tzn. nie zwulgaryzowanego doraźnymi potrzebami politycznymi) marksizmu jako uniwersalnej metody interpretowania twórców humanistycznych. Zatroskanym szło o to, by przodująca metoda, ustawicznie ulepszana i wzbogacana elementami

pochodzącymi spoza marksizmu, otwarta na dawność i dzisiejszość humanistyki światowej, dialogująca, sublimowana i szlifowana w sporach — mogła trwale zachowywać swą kierowniczą rolę w literaturoznawstwie, już nie jako coś narzucanego, ale jako swobodnie wybierana możliwość.

Nurt ten, bez wątpienia dominujący w IBL-u po 56 roku, zamykał w pewien sposób pierwszy okres dziejów Instytutu, stanowiąc zarazem przejście do następnego. Miał zresztą spore znaczenie również w tym drugim okresie; w wielu swoich przejawach (bo wcale nie był jednorodny) należał zrazu do zjawisk politycznie akceptowanych, a nawet popieranych, ale jego późniejsze losy nie układały się całkiem idyllicznie. Wola uszlachetniania marksizmu poprzez kolejne „otwarcia” prowadziła nieraz na manowce błędów i odchyień — nie tolerowanych przez partyjny nadzór. Końcowe lata 60. pozbawiły ostatecznie ten nurt znaczenia. Wprawdzie troska o pomyślność marksizmu w wiedzy o literaturze (i szerzej: w humanistyce) przewija się jeszcze później to tu, to tam, jednakże już nigdy nie miała osiągnąć dawnej siły ekspresji; włączana była niejako z poczucia zadawnionego obowiązku i wyrażała się w gestach rytualnych.

B. Drugi okres historii IBL-u jest znacznie trudniejszy do przedstawienia, ponieważ nie spaja go — jak w poprzednim wypadku — wyraźnie ukierunkowana jedność programu i dążeń, jedność przyjętego kursu (choć był to krótki kurs) i stylu działania.

IBL lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to instytucja policentryczna, wielokierunkowa i wielospecjalistyczna. Wszystko to oczywiście wymagałoby detalicznego opisu: i rodzaje ożywiających środowisko iblowskich zainteresowań, i pluralizm metodologiczny, i formy wewnątrz- i międzydyscyplinarnej komunikacji, i najważniejsze dokonania i główne niedokonania... Jednakże z najbardziej nawet szczegółowego i sumiennego opisu nie wywiedzie się żadnej jedności, która by to wszystko razem trzymała i tłumaczyła; każdy taki opis prowadzi raczej ku bogactwu trudno zrozumiałego rozproszenia.

A przecież nie da się zaprzeczyć, mamy poczucie jedności owego okresu — i chyba nie jest ono złudne. Sądzę, że jedność rodziła się na innym poziomie niż ten, na którym możemy obserwować same zjawiska podlegające opisaniu. Czynnikiem scalającym stawała się szczególna sytuacja, w jakiej Instytut znajdował się w tamtych dziesię-

ciolceciach, zresztą pospółu z innymi pokrewnymi placówkami polskiej humanistyki — bynajmniej nie wszystkimi. Próbowałem już kiedyś mówić o niej jako o egzystencji rezerwatywnej i nie chciałbym teraz powtarzać dawniejszych rozpoznań. Jakkolwiek więc przedstawiały się polityczne przyczyny takiego zjawiska, faktem empirycznym pozostaje istnienie i działanie w czasach Gomulkowskich, a potem Gierkowskich, humanistyki tolerowanej w jej akademickiej niby-niezależności. To była nisza, w której rozwijała się ibłowska nauka o literaturze.

Jak trzeba rozumieć ową akademicką niby-niezależność? Oznaczała ona przede wszystkim uznanie prawa badaczy do samodzielnych inicjatyw problemotwórczych — bez konieczności każdorazowego ich relatywizowania do oczekiwania politycznego nadzoru nad nauką (choć oczywiście takie oczekiwania były wyrażane i pozytywna na nie odpowiedź mogła się wiązać z określonymi gratyfikacjami dla badacza czy instytucji). Ktoś zajmujący się zawodowo historią czy teorią literatury nie odczuwał przymusu orientowania swoich poczynań wobec preferencji tematycznych i ideologicznych partyjnego zwierzchnictwa. Pole swoich dociekań mógł samowolnie zakreślać, znajdując inspiracje dla konceptów czy metod interpretacji wszędzie tam, gdzie kierowały go własne upodobania i skłonności. Nie wymagano od niego tłumaczeń, o ile tylko to, co czynił, dawało się przedstawiać w kategoriach fachowości, potrzeb warsztatu badawczego, rzemiosła, i tym podobnych — a więc w terminach swoiście „produkcyjnych”, a nie broń Boże ideologicznych.

Tak wyglądała jedna strona medalu: niezależność. Druga sprowadzała się do tego, że ową niezależność ustawicznie i bacznie kontrolowano — między innymi poprzez wielostopniową cenzurę — oraz w licznych wypadkach z góry, niejako ramowo, ograniczano. Każdy z nas wiedział na przykład, że istnieją zakazane sfery tematyczne, w które oczywiście można sobie prywatnie wkraczać, ale bez żadnych szans, aby swoje nimi zainteresowanie publicznie zmanifestować. Słowem: nie doświadczając nakazów, na każdym kroku mogliśmy doświadczać zakazów i restrykcji. Byliśmy w swojej pracy, ideologicznie nieprzydatnej, tolerowani, ale zarazem — czujnie obserwowani, czy przypadkiem nie wychodzimy poza przyznane swobody. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co do natury przyzwoleń; wiedzieliśmy (każdy to w sobie uwewnętrznił), że są one warunkowe, że tak, jak je przyzna-

no, tak też mogą być w dowolnej chwili cofnięte. A na dodatek gdzieś tam w tle majaczyła złowroga możliwość powrotu sytuacji, w której od akademickich humanistów znów będzie wymagany czynny udział we „froncie ideologicznym”, wraz ze wszystkimi tego, znanymi już, konsekwencjami. Że nie była to ewentualność czysto teoretyczna — świadczyły ówczesne losy humanistyki w innych krajach komunistycznych.

W całą tę dwuznaczność niby–niezależności iblowska wiedza o literaturze umiała wpisać się dość zręcznie i w sposób, który pozwolił jej na wypracowanie dorobku, zachowującego wartość i znaczenie również poza pierwotnym układem współrzędnych — a więc poza ową dwuznacznością, w jaką była nieuchronnie wplątana. Potrafiła znaleźć się tak, jak gdyby niewątpliwie pozostawała normalną wiedzą akademicką, skupioną bez reszty na swoistych dla niej zadaniach poznawczych, na kształtowaniu własnej problematyki i na usprawnianiu metodologicznego wyposażenia.

Wyrażało się to przede wszystkim w ostentacyjnym podkreślaniu związków łączących jej poszukiwania dzisiejsze i tutejsze — z tradycją badań oraz z tymi ich nurtami, które współcześnie dominowały zagranicą. Ożywiała ją woła przyswajania wszystkiego, co godne uwagi. Nie trzeba przypominać, jak ważną rolę spełniały wtedy liczne tłumaczenia obcojęzycznego piśmiennictwa naukowego, antologie tekstów przekładanych, wszelkiego rodzaju przeglądy, omówienia i sprawozdania. Ta rozwinięta działalność angażowała wcale niemałą grupę ludzi zawodowo uprawiających literaturoznawstwo. Dziś powiedziałbym, że byliśmy wręcz ponad miarę ciekawi wszystkiego, co nowe: zachłannie przyjmowaliśmy wszelkie idee, pojęcia, terminy, nawet i takie, które miały charakter efemeryczny, sezonowy. Wchodziły one natychmiast do naszego uzbrojenia; znajdowały zastosowania w naszych pracach — usilnie staraliśmy się wycisnąć z nich jakieś pożytki. Wzmózona aktywność recepcyjna miała dowodzić — również nam samym — że jesteśmy dobrze zdomowieni w ponadlokalnym porządku nauki. Jakoż problematyka iblowskiego literaturoznawstwa lat 70. stosunkowo niewiele odbiegała od problematyki cieszącej się wzięciem na zachodnich uniwersytetach. Te same sprawy budzące zaciekawienie, te same autorytety, na które się powoływano, te same modne słówka, którymi się przerzucano. Znamienne przy tym, że w odbiorze owych impulsów nie przywiązywaliśmy wię-

kszego znaczenia do faktu, że płyną one z bardzo rozmaitych źródeł — trudno nieraz uzgadniających; nasza zachłanność z góry jakby wykluczała obiekcje metodologicznego puryzmu: wcale nie lękaliśmy się niejednorodności języka badań i osobliwych scalań pojęciowych.

Czy taka mało selektywna recepcja mogła być dla wiedzy o literaturze funkcjonalna i pożyteczna? Co usprawiedliwiałoby eklektyzm metodologiczny, któremu bez wątpienia sprzyjała? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: funkcjonalne i pożyteczne okazywało się wtedy wszystko, co pozwalało dyscyplinom humanistycznym skutecznie podtrzymywać o d d a l e n i e od języka pozostającego w dyspozycji władzy komunistycznej — manifestować na jego nieusuwalnym tle swoje różnorodne obcojęzyczności. Na tym właśnie między innymi polegała szansa niby–niezależności: wiedza akademicka mogła ją utożsamiać z prawem do pielęgnowania autonomii praktykowanego języka — poprzez takie jego kształtowanie i sytuowanie, aby stawał się nieosiągalny dla dyskursu ideologicznych nadzorców. Im bardziej był bogaty i zróżnicowany, a nawet eklektyczny, tym mniej podatny na inspekcję. Tej motywacji nie wolno przeczyć: gra o niezależność w ramach niby–niezależności toczyła się także o to, aby chytrze uniedostępnić dyskurs badawczy, uczynić go odpornym na kontrolne wglądy.

Dlatego też, rozważając owocne literaturoznawstwo iblowskie, jego energiczne aspirowanie do europejskości, jego strukturalistyczne, antystrukturalistyczne i poststrukturalistyczne osiągnięcia — nie można traktować tego wszystkiego po prostu (i wyłącznie) jako etapu w autonomicznej ewolucji normalnej dyscypliny wiedzy. To była bez wątpienia ważna faza w rozwoju polskiej wiedzy o literaturze, w jej modernizacji, ale zarazem — jedna z form skrytego oporu wobec ideologicznego i językowego podboju życia umysłowego przez totalitarną maszynię. Dawało to dyscyplinie pewne nadwyżkowe znaczenie: ukierunkowywało ją i integrowało niejako ponad wielorakością występujących w niej orientacji (od scjentyzmu po dążenia zdecydowanie antyscjentystyczne). Czynnikiem spajającym stawała się tajna misja — udział w zasilaniu j ę z y k a a l t e r n a t y w n e g o, pozwalającego przywoływać wartości zagłuszone, zapomniane czy wyklęte w obrębie uniwersum nowomowy.

Mielibyśmy więc do czynienia z sytuacją poniekąd paradoksalną: dyscyplina, która mogła w miarę pomyślnie prosperować tylko pod warunkiem przebywania w akademickim, rezerwatowym wyosobnieniu,



właśnie z tej swojej akademickości wyprowadziła możliwość służby celom pozaakademickim. We właściwych sobie trybach wypowiedzi potrafiła nieraz efektywnie zastępować dyskursy nieobecne, zakazane lub ograniczane w życiu publicznym; mówiąc o literaturze, mówiła zarazem o czymś więcej, a przynajmniej tak się wydawało, że mówi o czymś więcej — że mniej czy bardziej sekretnie przekazuje jakąś oficjalnie nie racjonowaną wiedzę o losie zbiorowym, o tradycjach narodowych, a nawet o mechanizmach współczesnego życia politycznego. Te ukryte misje zapewniały instytutowej nauce o literaturze nie tylko ponadmetodologiczną integrację, ale też niecodzienny sens — i dla tych, co ją uprawiali, i dla tych, co byli jej odbiorcami, i również dla tych, co ją nadzorowali i cenzurowali.

U schyłku lat 70., wraz z pojawieniem się niezależnych ośrodków życia intelektualnego i przede wszystkim wydawnictw pozacenzuralnych, owe ukryte misje traciły stopniowo uprzednie znaczenie. Zaczęła maleć rola takich instytucjonalnie umiejscowionych środowisk ideotwórczych jak iblowskie, których formy ekspresji i oddziaływania, ograniczone wymogami rezerwatu, poddane wielorakim upośrednieniom wymuszonym przez cenzurę, przestawały być funkcjonalne, nabierały charakteru przeżytkowego — w zestawieniu z możliwościami słowa nieskrępowanego, bezpośrednio nazywającego zjawiska i wartości, radośnie odrzucającego konwencje mowy przenośnej i pokrętności języków czopowych.

Oslabnięcie czynnika tak istotnie wiążącego przez długie lata prace i dnie społeczności iblowskiej, w sposób naturalny uwolniło siłę odśrodkową, która ustawicznie przeciw rodzi pluralizm i policentryzm dążeń. Rozchwiała się wspólnota komunikacyjna, która przedtem nadbudowywała się nad nimi — i oto poszczególne szkoły, specjalności, pracownie, zespoły znalazły się niejako sam na sam ze swymi nieublaganymi partykularyzjami.

C. Tak wyglądała z grubsza cezura przypadająca na końcowe lata siedemdziesiąte; wraz z nią rozpoczął się okres duchowego dryfowania IBL-u. Można by powiedzieć, że w poprzednich fazach swojej historii Instytut przetestował dwa — skrajnie różniące się — warianty spójności, teraz natomiast przyszło mu wypróbować możliwość bytowania poza spójnościami.

Ta nowa wtedy sytuacja wprowadzała niektórych w stan głębokiego

przygnębienia: wydawała się nienaturalna i pozbawiona perspektyw; nikt chyba nie sądził, że może się utrzymywać na dłuższą metę, ale właśnie poczucie jej tymczasowości budziło lęk o przyszłość. Obecnie nie jest już nowa, gdyż zdołaliśmy żyć się z nią w ciągu lat osiemdziesiątych i później. Nie sposób byłoby nawet utrzymywać, że wprowadziła jakieś dramatyczne zerwanie ciągłości w dziejach IBL-u. Nadal przecież działała inercja wcześniej podjętych prac i zobowiązań, chęć ich kontynuowania, a nawet rozszerzania. Codzienne życie Instytutu toczyło się dalej, jakby nawykowo, utartymi ścieżkami: rodziło doktryny, habilitacje, bibliografie, przyczynki, monografie, przeglądy badań, konferencje, sympozja i seminaria. Jednakże w tej powszedniej krzątaninie coraz dotkliwiej odczuwało się brak zwierzchniego ładu, który by ją podsycał sensem, brak ram scalających doświadczenia — projektu dyscypliny, który by wielodrożność, wielokierunkowość i wielocelowość usiłowań przyporządkowywał jakiejś środowiskowo uznawanej hierarchii celów i wartości. Dawniejsze drogowskazy utraciły w dużej mierze znaczenie, ale nie widać, by ktoś próbował ustawiać nowe. Usnęła bowiem woła zadawania pytań podstawowych dotyczących dziedziny wiedzy wspólnie przez nas uprawianej — jej zasad pierwszych. Powroty do takich fundamentalnych pytań (o naturę przedmiotu dyscypliny, o jej zadania poznawcze i społeczne obligacje) zdają się nieuniknione, gdy następuje zauważalne zużycie dotychczasowego „paradygmatu” poszukiwań. W przeszłości bywały — co dobrze wiemy — ważnym czynnikiem motorycznym w ewolucji literaturoznawstwa; łączyły się zwykle z wchodzeniem do gry nowych pokoleń badaczy...

Okres dryfowania (zgodnie z wymaganiami purystów: znosu) też, jak wszystko, dobiegnie kiedyś kresu i być może okaże się wtedy, że był jedynie etapem przejściowym — poprzedzającym trudną teraz do wyobrażenia nową integrację iblowskiej nauki o literaturze i iblowskiej społeczności. Nie wiemy, co mogłoby ją spowodować. Jakiś ciąg szczęśliwych trafów? przyjazny układ planet? optymizm poznawczy początków nowego tysiąclecia? Wiemy wszakże, co jej samo przez się nie spowoduje.

Nie dojdzie do niej — choć takie nadzieje mogą niektórzy żywić — na drodze udoskonaleń instytucjonalno-organizacyjnych, choćby i najbardziej wyrafinowanych. Nie przybliży jej żadna restrukturyzacja Instytutu, nawet nieprzerwanie prowadzona (restrukturyzacja to

jedno ze słów-wytrychów, które otwierają różne sezamy). Nie wspomóże najusilniejsza komputeryzacja wszystkiego. Nie wywoła najdoskonalsza planistyka, kontrola i sprawozdawczość. Nie wymusi najbardziej postmodernistyczna technika kierowania i zarządzania — w rękach bezgranicznie pracowitych i oddanych sprawie dyrektorów...

Tą niewielką profecją pozwalam sobie zakończyć wywód o potrzebie historii Instytutu Badań Literackich.

*listopad 1993*